

Pytania przed **drugą turą** | Strestest **Tuska** | Co mówią **ścieki**
Kant **Putina** | Strajk **kurierów** | **Izera** odjeżdża | Powrót **astrologii**

ILUSTRACJA ARKADIUSZ HAPKA

POLITYKA.PL

POLITYKA

1
LIDER
SPRZEDAŻY

TYGODNIK, nr 17 (3461), 17.04–23.04.2024

Cena 11,90 zł (w tym 8% VAT) nr indeksu 369195

Sztandar wyprowadzić?

Lewica na bocznicy s. 19



USA 4,60 USD; KANADA 4,69 CAD; WIELKA BRYTANIA 2,50 GBP; SZWECJA 30 SEK; CZECHY 75 CZK; KRAJE STREFY EURO 4,95 EURO



ZOSIA

MIESZKO

WIKTORIA

JOANNA
KOŁA(ZKOWSKA
jako ISKIERKA

SZYMON
MAJEWSKI
jako DETEKTYW

MIROŚŁAW
ZBROJEWICZ
jako RAK

ISKIERKA KONTRA RAK



KRS 0000248546

1,5%

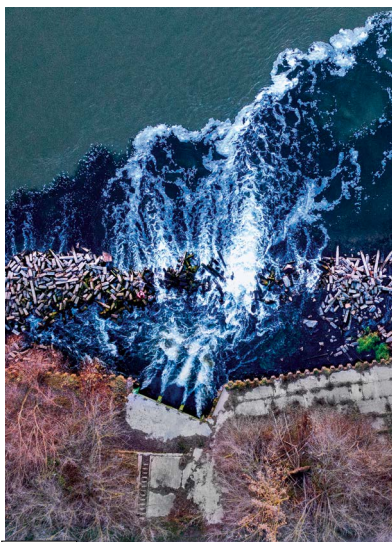
ZOBACZ CAŁĄ HISTORIĘ NA FUNDACJAIISKIERKA.PL





16

Troski Tuska



22

Mówią ścieki



32

Napięcia wokół elektryków

Prezydentury drugiej tury

- 12 Krzysztof Burnetko
Kraków: napięcie rośnie
- 13 Katarzyna Kaczorowska
Wrocław: brudne pytania
- 14 Norbert Frątczak
Kielce: starcie kontrastów
- 15 Ryszarda Socha
Gdynia: burza w porcie

Polityka

- 16 Cezary Michalski **Taktyka Tuska**
- 19 Rafał Kalukin **Kolejny zjazd Lewicy**

Społeczeństwo

- 22 Juliusz Ćwieluch **Brzydkie sekrety wyłowione ze ścieków**
- 25 Marta Mazuś **Strajk kurierów**
- 28 Agnieszka Kantaruk **Hałas o hałas**
- 30 Zbigniew Borek
Lubuska afera maseczkowa

Rynek

- 32 Adam Grzeszak **Krótką karierą Izery**
- 35 Joanna Solska **Czarny wizerunek Zielonego Ładu**
- 38 Joanna Solska **Jan Krzysztof Bielecki o sobie**

Świat

- 40 Paulina Wilk **INDIE Zdecydują wybory kobiet**



- 43 Marcin Żyła
Spór o pakt migracyjny
- 46 Publicystka **Emily Tamkin** o tym, jak na wojnę w Gazie reagują amerykańscy Żydzi
- 48 Edwin Bendyk **UKRAINA Zdeterminowani i zaradni**

Nauka/projekt pulsar.pl

- 50 Co nauka zawdzięcza astrologii, opowiada amerykański fizyk dr **Alexander Boxer**



- 56 Marcin Rotkiewicz **Jak sztuczna inteligencja wspomaga badaczy**
- 60 Edwin Bendyk
Na początku była energia

Historia

- 62 Michał Wójcik **Lewicowi artyści i ich wojenna sztuka... zabijania**
- 65 Filip Gańczak
Proces funkcjonariusza Stasi, który pół wieku temu zastrzelił Polaka w Berlinie

- 68 Adam Krzemiński ESEJ
Zawłaszczony Kant

Kultura

- 76 Piotr Sarzyński
Wiedeńska wystawa Roya Lichtensteina
- 79 Justyna Sobolewska, Aleksandra Żelazińska **Na ratunek księgarniom**
- 82 Bartek Chaciński
Serial „Fallout” – czarny humor o atomowej zagładzie
- 84 Aneta Kyzioł **Elizabeth Costello w ujęciu Warlikowskiego**
- 86 MEA PULPA **Kuby Wojewódzkiego**
- 90 Joanna Podgórska
Zbigniew Mikołajko – zabłąkany między wiarą i niewiarą



Ludzie i style

- 92–97 • **Bierna agresja**
- **Metoda na Mentzena**
 - **Quest wyborczy**
 - **Błyskotki dla panów**
 - **Zetki chcą spać**
 - **Rozgrywki paintballa**
 - **Spróbuj selera**

Stałe rubryki

- **4** Mleczko i Mizerski
- **6** Przypisy
- **7** Ludzie i wydarzenia
- **72** Afisz
- **87** Sulej
- **88** Lis
- **89** Hartman
- **91** Do i od redakcji
- **98** Polityka i obyczaj



SŁAWOMIR MIZERSKI Z ŻYCIA SFER

Czy Polska cofnie Niemcy w rozwoju

Jarosław Kaczyński ostrzega, że polskie szkolnictwo pod rządami obecnej władzy będzie kształciło parobków dla bogatych Niemiec, tymczasem czytam, że bycie parobkiem u Niemca przestaje być opłacalne. Coraz trudniej wyżyć Polakom za Odrą z prostych prac, np. sprzątania. „Dzisiaj Polka nie ma tam czego szukać” – gorzko wyznaje onetowi.pl pani Marlena, która sprzątała w Niemczech przez 15 lat, ale zrezygnowała, bo „życie podrożało, a konkurencja jest taka, że nie da się zarobić jak kiedyś”.

Podczas gdy praca w Niemczech opłaca się Polakom coraz mniej, Niemcom różne rzeczy opłacają się w Polsce coraz bardziej. W tych dniach Berlin ogłosił, że planowany przez rząd PiS Centralny Port Komunikacyjny, jeśli zostanie zrealizowany, będzie się opłacał i Niemcom, i całej UE. To informacja szalenie niepokojąca, w końcu CPK nie miał być zbudowany po to, żeby był dla Niemców opłacalny; rząd PiS zapewniał, że CPK powstaje po to, żeby Niemcy na nim stracili i żeby ich pozycja osłabła, a ich przemysł lotniczy się załamał.

Audyty w sprawie CPK oraz audyty badające wiarygodność tych audytów trwają, ale powiem jasno: nie wiem, czy Polskę

stać na rozwój polegający na ładowaniu miliardów euro w coś, co się będzie Niemcom opłacało. Może trzeba się zastanowić, czy w takiej sytuacji Polska powinna się w ogóle rozwijać? Wiele osób uważa, że rozwój Polski, który jest opłacalny dla Niemiec, które już i tak są bardzo rozwinięte, jest bez sensu, bo w ten sposób nigdy nie prześcigniemy Niemców w rozwoju, co od lat obiecuje prezes Kaczyński.

O bóz Zjednoczonej Prawicy stoi na stanowisku, że skuteczniejszy w osłabianiu Niemiec jest rozwój oparty na nieinwestowaniu. Jak wiadomo, twarą politykę osłabiania Niemiec poprzez taki rozwój prowadziły rządy PiS, które przez osiem lat zapowiadały np. powstanie CPK, a nie doprowadziły nawet do wbicia pierwszej łopaty przez prezesa Kaczyńskiego. Dla Niemiec, które dzisiaj otwarcie przyznają, że CPK by się im opłacał, musiało to być bolesnym ciosem.

Innym celnym uderzeniem w Niemcy było niewyprodukowanie zapowiedzianego przez premiera Morawieckiego miliona polskich aut elektrycznych. Zamiast stawiać na budowę fabryki takich aut (a także opłacalnego dla Niemiec CPK), rząd Morawieckiego postawił na przekop Mierzei Wiślanej. Jego zaletą jest to, że nie opłaca się on nikomu, także Niemcom i Rosji, i z tego powodu jest bardzo bezpieczny dla Polski.



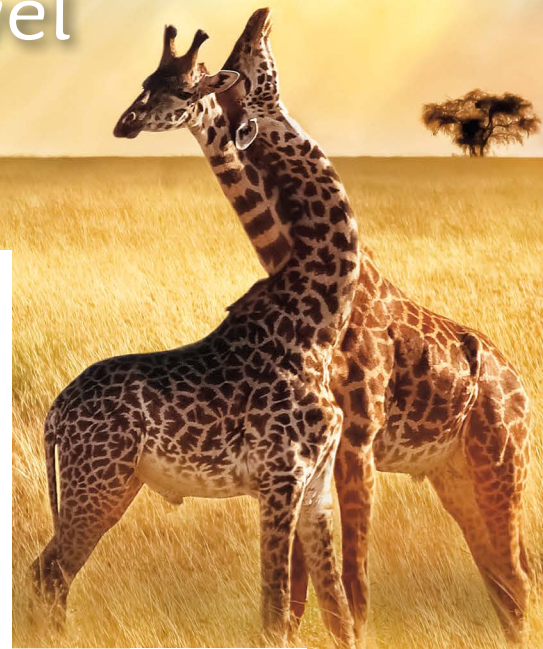
Afryka Mandeli

Trasa tej wycieczki do RPA prowadzi przez najpiękniejsze miejsca tego afrykańskiego kraju: od safari w Parku Krugera przez Kapsztad do Przylądka Dobrej Nadziei.

Program wycieczki: Dz. 1 Wylot z Warszawy do Johannesburga. Dz. 2 Przyłot do Johannesburga – Rezerwat dzikiej przyrody Manyeleti w Parku Narodowym Krugera. Dz. 3-4 Safari w rezerwacie Manyeleti w Parku Narodowym Krugera. Dz. 5 Rezerwat Manyeleti - Trasa Panoramiczna – Zebra Country Lodge w Pretorii. Dz. 6 Relaks w Zebra Lodge i wycieczka do Zebra Repile Center. Dz. 7 Wycieczka do Soweto i Pretorii. Dz. 8 Zebra Nature Reserve – Port Elizabeth – Park Narodowy Tsitsikamma – Zatoka Plettenberg. Dz. 9 Zatoka Plettenberg. Rejs po rzece Keurbooms. Dz. 10 Zatoka Plettenberg – wapienne groty Cango - Oudtshoorn. XIX wieczne rezydencje w Montagu. Dz. 11 Montagu - Kapsztad. Winiarnie w Stellenbosh z degustacją wina. Ogród botaniczny Kirstenbosch. Dz. 12 Kapsztad – dzień do własnej dyspozycji. Dz. 13 Kapsztad. Przylądek Dobrej Nadziei. Rejs na wyspę Duiker i lwy morskie. Kolonie pingwinów w Simon's Town. Dz. 14 Kapsztad. Podróż powrotna. Dz. 15 Przyłot do Warszawy.

15 dni | Wyloty z Warszawy 16/10, 21/11 2024, 30/01 2025

od **15.498,-**



Rejs po Renie

Program wycieczki: Dz. 1 Wylot z Warszawy do Frankfurtu. Transport autokarem do Kolonii, zakwaterowanie na statku i wyptynięcie w rejs. Dz. 2 Andernach. Zwiedzanie miasta pieszo i możliwość wycieczki do zimnego gejzera. Dz. 3 Mainz (Moguncja). Pieszne zwiedzanie średniowiecznego miasta z jego wspaniałą katedrą. Dz. 4 Gernersheim. Dodatkowa wycieczka do Speyer (dodatkowo płatne). Dz. 5 Kehl, Niemcy/Strasburg, Francja. Możliwość zwiedzania średniowiecznego miasta wpisanego na listę UNESCO. Dz. 6 Mannheim, (Ludwigshafen) i Rudesheim. Możliwość wycieczki do Heidelbergu. Dz. 7 Pasaż Łoreley i Koblenca. Możliwość zwiedzania miasta i wjazdu kolejką linową do twierdzy Festung Ehrenbreitstein. Dz. 8 Kolonia – Frankfurt i powrót do domu.

8 dni | Wylot z Warszawy 17/08 2024 | **7.998,-**



Bergen i norweskie fiordy

Program wycieczki: Dz. 1 Wylot z Warszawy do Oslo. Przejazd do Hamar. Dz. 2 Hamar – Lillehammer – Droga Trolli-Geiranger. Skocznia w Lillehammer, dolina Gudbrandsdalen. Dz. 3 Geiranger – Hellesylt – Sognefjorden – Bergen. Wycieczka statkiem po fiordzie z Geiranger do Hellesylt. Dz. 4 Bergen – Gudvangen - Flåm – Geilo. Spacer po Bergen. Wycieczka statkiem po fiordzie między Gudvangen i Flåm. Dz. 5 Geilo – Oslo. Zwiedzanie Oslo, ulica Karl Johan i park Frognerparken. Dz. 6 Czas wolny. Wylot z Oslo do Warszawy.

6 dni | Wyloty z Warszawy 11/06, 12/07, 22/07 2024

od **5.798,-**



Remis ze wskazaniem



Jerzy Baczyński

Jeśli wyborczy wynik koalicji rządowej uznać za „umiarkowanie dobry”, to druga tura wyborów samorządowych może do tej słabej czwórki dopisać plus. W kilku ważnych miastach, gdzie odbędzie się prezydencka dogrywka, kandydaci koalicyjni powinni wygrać z lokalnymi konkurentami. W przypadku Wrocławia mamy wręcz do czynienia z wewnętrzną rywalizacją między dwójgą kandydatów wspieranych (choć bez entuzjazmu) przez KO i Trzecią Drogę; tak czy inaczej zwycięstwo zostanie w domu.

Ważne będzie (prawie pewne) przypiecztowanie prezydentury Konrada Fijołka, wspólnego kandydata demokratycznych partii w Rzeszowie – stolicy zdominowanej przez PiS Podkarpacia. Dokładnie z tego samego powodu dużym sukcesem byłoby zwycięstwo dwójgą kandydatów Koalicji Obywatelskiej – Aleksandra Miszałskiego w Krakowie i Agaty Wojdy w Kielcach. Po ustąpieniu wcześniejszych, „pozapartyjnych i wsobnych” prezydentów tych miast, Jacka Majchrowskiego i Bogdana Wenty, KO/PO ma wyjątkową okazję, aby po wielu latach zdobyć stolice obu, wciąż pisowskich, województw. To mógłby być początek ich politycznej rekonkwisty. Ale wcześniej liderzy Platformy powinni ruszyć trasą S7 z Warszawy przez Kielce do Krakowa i dać kandydatom mocne wsparcie; zwłaszcza Agata Wojda, imponująca energią i uporem działaczka społeczna z Kielc, była dotąd w swojej partii dość osamotniona.

Zdobycie Krakowa i Kielc to byłby dla koalicji gol w ostatniej części dogrywki, bo sam mecz, w regulaminowym czasie, zakończył się remisem. Pisaliśmy w powyższym komentarzu, że „każdy coś przegrał, coś wygrał”, ale dopiero po ogłoszeniu przez PKW rzeczywistych danych widać, że 7 kwietnia wyborcy niemal skopiowali wynik z 15 października, i to mimo wszelkich różnic w charakterze samych wyborów i mniejszej aż o jedną trzecią frekwencji. Statystycznie to właściwie nie miało prawa się zdarzyć: PiS spadł tylko o 1 pkt proc., a kolejne trzy formacje – KO, Trzecia Droga i Konfederacja – miały identyczny poziom wskazań, z dokładnością do jednej dziesiątej procenta. Tyle się działo przez te sześć miesięcy, a wynik praktycznie ani drgnął.

W tym sensie powtórzył się polityczny komunikat z października: po pierwsze – PiS pozostaje najsilniejszą partią, choć traci kolejny kawałek poparcia i kolejne kawałki swojej władzy; po drugie – demokratyczne formacje mają zdecydowaną stabilną większość i przewagę nad PiS, ale tylko razem; po trzecie – lewica znów topnieje. To „po trzecie” jest po raz kolejny zaskakujące, bo według wszelkich badań opinii publicznej tzw. lewicowa agenda ma w Polsce bardzo duże, często większościowe poparcie, jak w kwestii liberalizacji aborcji, ale też polityki socjalnej, mieszkaniowej, ekologicznej, edukacyjnej, wyznaniowej. Zastanawiamy się, z jakich powodów lewica zjechała do poziomu ledwie 6,2 proc. (pisze o tym Rafał Kalukin na s. 19). Kryzys przywództwa, sprawowanego przez lewicowych trzech króli – Czarastego, Biedronia, Zandberga – jest tu oczywisty, ale okolicznością łagodzącą pozostaje, jak zawsze w polskiej polityce, „wina Tuska”. Rzeczywiście, lider KO przejął znaczną część

lewicowych postulatów, łącznie z tożsamościowo najważniejszymi – legalizacją aborcji i związków partnerskich. Jak to się mówi: odebrał lewicy tlen.

Jednak jeśli spojrzeć z dystansu na pierwsze 100 dni premiera Tuska (abstrahując od fatalnie rozegranych wizerunkowo „100 konkre-tów”), widać zgoła inny obraz: przesunięcie PO na prawo; choć właściwie należałoby powiedzieć – w stronę prawicowego populizmu (pisze o tym także Cezary Michalski na s. 16). Od razu dodajmy, że tak się dzieje właściwie we wszystkich centrowych, chadeckich, liberalnych, demokratycznych, nawet socjaldemokratycznych partiach europejskich. Sondáže przed nadchodzącymi wyborami do Parlamentu Europejskiego wskazują na wyraźny wzrost poparcia dla eurosceptycznej, populistycznej, często prorosyjskiej prawicy. Polityczne centrum, jeśli chce obronić dominującą pozycję w PE, musi teraz „odbierać tlen” populistom, wdychając oczywiście ich narracje.

Przyjęty właśnie przez PE niewielką większością pakt migracyjny europejska lewica określa jako antyimigracyjny, nawet nieludzki, bo zakłada m.in. deportacje i push-backi „nielegalnych migrantów” do tzw. bezpienicy krajów trzecich, jak Rwanda, Turcja, Tunezja i inne opłacane przez UE „ułomne demokracje” (więcej na s. 43). A i tak Donald Tusk zapowiedział, że Polska nie zastosuje się do reguł obowiązkowej solidarności państw członkowskich, co zabrzmiało zgoła po pisowsku. Nowy rząd odrzuca możliwość relokacji migrantów na teren Polski, także wnoszenia opłaty kompensacyjnej (20 tys. euro za osobę) w przypadku odmowy, czy wysłania misji do ochrony zewnętrznej granicy Unii. Argument, że przyjęliśmy miliony uchodźców z Ukrainy, jest mocny, przez liderów Unii uznawany i Tusk ma szansę uzyskania „legalnego polskiego wyjątku” – to go różni od PiS-u, który dążył do propagandowej eskalacji konfliktu z Brukselą.

Podobnie jest z europejskim Zielonym Ładem: pod wpływem paneuropejskich protestów rolników i nacisku najważniejszych polityków unijnych (w tym Tuska i Macrona) Komisja Europejska wycofała lub zawiesiła wiele rygorów paktu klimatycznego (artykuł Joanny Solskiej na s. 35). Zdecydowano także o wprowadzeniu istotnych ograniczeń dla importu produktów rolnych z Ukrainy i utrzymaniu barier dla sprowadzania żywności z krajów Ameryki Łacińskiej. To były „mówione” postulaty europejskiej prawicy, które teraz przez unijne centrum są „robione”.

Prezes Kaczyński, rozpoczynając w Stalowej Woli kampanię PiS do europarlamentu, już zarysował jej główne hasła: „Żadnych zielonych ładów, żadnych zmian traktatów, żadnych ograniczeń wolności”. W tej „wolności” chodzi m.in. o przerysowane, przedramatyzowane, przyszłe zakazy produkcji samochodów spalinyowych, ograniczenia hodowli zwierząt czy używania paliw kopalnych. Wobec wszystkich tych rozsiewanych przez prawicę strachów Unia zastosowała środki uspokajające. Przechodzenie na auta elektryczne zostało praktycznie wyhamowane (co dotknie także projekt Izery – s. 32), rolnicze ekoschematy stają się już tylko zachętami, a nie obligiem; w sprawie paliw sam prezydent Macron wezwał do „pauzy ekologicznej”, a polskie Ministerstwo Przemysłu ujawniło plan – zgodny z postulatami branży górniczej – łączenia firm energetycznych z kopalniami węgla. Itd.

W obecnej kampanii do PE, inaczej niż w poprzednich, eurosceptycy i „exitowcy” zetrą się nie z euroentuzjastami, ale eurorealistami, kierującymi się regułą: mniej ambicji to mniej populizmu. Europejskie i polskie centrum polityczne próbuje rozepchnąć się między lewicą i prawicą, tak żeby na zewnątrz pozostali już tylko radykałowie z obu stron. Ryzykowna, budząca moralny opór wielu wyborców, taktyka (przejściowego?) wchłaniania, oswajania populistycznych tematów i argumentów wydaje się dziś jednak warunkiem przetrwania samej Unii i systemu demokracji liberalnej, na której Zachód zbudowano. Remis w naszych wyborach samorządowych, z małym wskazaniem na demokratów, pokazuje tylko, że ta gra trwa i, jak mówią komentatorzy sportowi, jej wynik jest otwarty. Kolejne starcie 9 czerwca – eurowybory.

Sienkiewicz tnie mieczem

W kulturze poleciały głowy. Tylko metaforycznie, choć decyzje kadrowe ogłoszone przez ministra Sienkiewicza komentowane są barwnymi odniesieniami do jego literackiego przodka. Z funkcji dyrektora Instytutu Dziedzictwa Myśli Narodowej im. Romana Dmowskiego i Ignacego Jana Paderewskiego został odwołany Jan Żaryn, ze stanowiska dyrektorki Instytutu Pileckiego – Magdalena Gawin, a obowiązki szefa Polskiego Instytutu Sztuki Filmowej przestał pełnić Radosław Śmigulski.

Pierwsze dwie decyzje dotyczą instytutów powołanych do życia za rządów Piotra Glińskiego. Gawin miała się dopuścić „poważnych naruszeń proceduralnych” i stracić nadzór nad zagranicznymi filiami instytutu. Obowiązki pełnić będzie Wojciech Kozłowski, dotychczasowy wicedyrektor. W wypadku Żaryna przyczyną odwołania było stałe wypompowywanie milionów złotych w jednym kierunku. „Jeśli ktoś będzie to chciał nazwać odwołaniem politycznym – proszę bardzo. Ale dopóki jestem ministrem kultury, nie pozwolę, żeby Ordo Iuris i ekstremistyczne środowiska prawnicowe cieszyły się pieniędzmi pochodzącymi z podatków wszystkich Polaków” – uzasadniał minister. Na następcę Żaryna wyznaczył historyka Adama Leszczyńskiego, autora „Ludowej historii Polski”. Oznacza to zwrot kursu, mówi się nawet o zmianie patrona instytutu – Dmowskiego ma zastąpić Gabriel Narutowicz.

Zdymisjonowanie szefa PISF to z kolei trzęsienie ziemi w branży filmowej, której działania placówka finansuje od prawie 20 lat. Jego sposób podejmowania decyzji oceniany był jako mało transparentny i arbitralny, miał ignorować opinie ekspertów, a oponentów gnębił procesami. Pojawiały się też zarzuty o naruszenie procedur konkursowych przy jego powołaniu na stanowisko. W końcu szeroka reprezentacja środowiska zaapelowała do ministra Sienkiewicza o „pilną interwencję”. Wcześniej głosy krytyki mogły być powściągane, bo szef PISF decyduje o finansowym być albo nie



być filmowych projektów. – *To decyzja uzdrawiająca, która dopiero otwiera drogę do oczyszczenia środowiska z zaszłości* – komentuje reż. Joanna Kos-Krauze. – *Są one efektem działań Śmigulskiego, który to środowisko zastraszał w sposób szokujący*. Ministerstwo zapowiada konkurs w PISF. Tymczasem p.o. dyrektorem będzie Kamila Dorbach, ostatnio specjalistka ds. PR w Instytucie.

Konferencja ministra **Bartłomieja Sienkiewicza** niemal zbiegła się w czasie z zatwierdzeniem przez Sąd Rejestrowy wpisów do KRS likwidatorów TVP i Polskiego Radia, które oznacza zwycięstwo koalicji także na trudnym froncie zmian w mediach. Minister rozważa też wniosek o Trybunał Stanu dla Macieja Świrskiego, przewodniczącego KRRiT, który wstrzymuje należne mediom pieniądze z abonamentu. W kuluarach mówi się, że zmiany przyspieszyły, bo Sienkiewicz wybiera się do europarlamentu. Minister tych doniesień nie potwierdza. Nie zaprzecza może z taką energią, z jaką uzasadniał decyzje kadrowe, ale i tu słycać mocną retorykę: „Nie będę uprzedzał decyzji premiera, bardzo nie lubię dotyku gilotyny politycznej na szyi”. (JW, BCH)

Sejmiki, marszałkowie i jeden joker

Kadencja władz samorządowych kończy się 30 kwietnia, a pierwsze sesje wybranych 7 kwietnia sejmików odbędą się na początku maja. Wtedy też radni wybiorą marszałków i przewodniczących sejmików.

Potyczkę o sejmiki na poziomie ogólnopolskim wygrał PiS z rekordowym wynikiem w historii wyborów lokalnych w Polsce (34,27 proc.). Partia Kaczyńskiego ma 239 radnych wojewódzkich. Druga była KO (30,59 proc., 210 mandatów), a trzecia – Trzecia Droga (14,25 proc., 80 radnych, w tym zdecydowana większość z PSL). Pozostałe komitety ogólnopolskie odegrały rolę drugoplanową: Konfederacja (7,23 proc.) zdobyła sześć mandatów, Lewica (6,32 proc.) – osiem, a Bezpartyjni Samorządowcy (3,01 proc.) – trzy. Z komitetów lokalnych dawni będą tylko Śląscy Samorządowcy (dawniej Mniejszość Niemiecka), którzy w woj. opolskim wprowadzili pięcioro radnych.

Zwycięstwo PiS wygląda mniej okazałe, gdy spojrzymy na poszczególne województwa. Tę kadencję prawica zaczynała z władzą



w ośmiu regionach, teraz samodzielłą większość ma tylko w czterech: na Podkarpaciu (marszałkiem pozostanie zapewne Władysław Ortyl), w lubelskim (tu też nie zanoszą się na zmianę marszałka, którym jest Jarosław Stawiarski), świętokrzyskim (nową marszałkinią może zostać Renata Janik) i małopolskim (tu raczej dojdzie do zmiany marszałka, bo dotychczasowy – Witold Kozłowski – ma wielu wrogów w PiS). Decyzje o marszałkach z PiS podejmie komitet polityczny partii, do rozstrzygnięcia pozostają też lokalne układy z Konfederacją.

W 11 z 16 województw rządzić natomiast będzie KO z koalicjantami, głównie z TD, ale także Lewicą oraz Śląskimi Samorządowcami (Opolszczyzna). Nowym marszałkiem

na Śląsku będzie zapewne poseł KO Wojciech Saługa, w przejętym od PiS woj. łódzkim jedną z kandydatek na marszałkinię jest wiceprezydentka Łodzi Joanna Skrzydlewska (KO). Na Mazowszu PSL nie wyobraża sobie życia bez Adama Struzika, który jest marszałkiem od 2001 r. i uzyskał rekordowy wynik pod względem liczby głosów (prawie 75 tys.). Stanowisko zachowa zapewne także Olgierd Geblewicz (KO), marszałek woj. zachodniopomorskiego od 2010 r.

Na sejmikowej mapie szarą plamą jest na razie Podlasie, gdzie PiS zdobył 15 mandatów, KO i TD – 14, a jednego radnego wprowadziła Konfederacja. Jest nim b. działacz Porozumienia Jarosława Gowina **Stanisław Derehajo**. Tu możliwe są różne rozstrzygnięcia. Jeśli nie dojdzie do wyłonienia większości zdolnej wybrać władze województwa, konieczne będą przyspieszone wybory (podobnie jak w 2007 r., gdy również na Podlasiu doszło do takiego pata).

Sejmiki są dla partii bardzo istotne – decydują o budżecie regionu (od niecałego 1 mld zł do prawie 7 mld w przypadku największego Mazowsza) i są kopalnią stanowisk w instytucjach podległych władzom wojewódzkim. (WBS)



Aborcja w Sejmie, rozedrganie w koalicji

Emocje jakby zmalowały, co zresztą zauważył też marszałek Hołownia, podsumowując **ubiegłotygodniową debatę na temat liberalizacji prawa antyaborcyjnego**. „To była najspokojniejsza i najbardziej merytoryczna debata o aborcji, jaką ten Sejm widział od 30 lat” – mówił. Bo rzeczywiście cztery projekty ustaw „cywilizujących” rygorystyczne prawo narzucone przez prawicę – przynajmniej na pozór – bez większych problemów przeszły do dalszych prac w specjalnie powołanej komisji (na czele której stanęła Dorota Łobodowa z KO). Co prawda, wyłamali się trzeciodrogowi konserwatyści, głosując przeciwko projektom KO i Lewicy (m.in. Marek Sawicki, Ireneusz Raś i Marek Biernacki) albo też się wstrzymując (Władysław Kosiniak-Kamysz, Krzysztof Hetman czy Piotr Zgorzelski), jednak dla wyniku nie miało to znaczenia. Podobnie jak tajemnicza absencja Romana Giertycha, który jeszcze w kampanii zobowiązywał się głosować zgodnie z dyscypliną klubową – a ta w KO nakazywała obecność i poparcie dla wszystkich czterech projektów (Giertych będzie się teraz musiał tłumaczyć przed władzami klubu).

Nie obyło się oczywiście bez demagogicznych wystąpień posłów PiS i Konfederacji, ale poza teatralną przemową Kariny Bosak miały one dość wtórny charakter – rytualnie powtarzano argumenty, które przez ostatnie dekady towarzyszą wszelkim dyskusjom o aborcji (odwołania do Hitlera, cytaty z Jana Pawła II, straszenie „cywilizacją śmierci” i feministkami). Z kolei posłanki rządzącej koalicji przywoływały dramaty kobiet, które straciły zdrowie lub życie na skutek drakońskiego prawa – i ich rodzin, które to prawo narażało na zarzuty karne (jeden z projektów, firmowany przez Lewicę, dekryminalizuje pomoc w aborcji). „Zakaz aborcji zabija” i „nie powoduje, że tej aborcji nie ma” – powtarzały przedstawicielki KO i Lewicy, których projekty dają możliwość przerywania ciąży do 12 tyg. Natomiast polityczki

TD podkreślały, że tylko ich ustawa (powróć do tzw. kompromisu, czyli sytuacji sprzed wyroku Trybunału Julii Przyłębskiej) jest „skuteczna”, bo można próbować przekonać do niej Andrzeja Dudę. A potem przeprowadzić referendum. Tyle że to opcja, do której nie pali się ani lewica, ani prawica.

Zagadnięty o to na sejmowym korytarzu Jarosław Kaczyński stwierdził, że: „W sprawach moralnych referenda nie są dobrym rozwiązaniem”. Zarazem oświadczył, że opowiada się za wpisaniem do konstytucji tzw. kompromisu z 1993 r. (czyli słynnych trzech przesłanek) – choć to przecież na wniosek jego posłów i za sprawą jego „odkrycia towarzyskiego” ów kompromis został naruszony. Najwyraźniej prezes PiS wyciągnął wnioski z pierwszego poważnego tąpnięcia poparcia, które jego formacja zaliczyła właśnie jesienią 2020 r. na skutek wyroku TK i czarnych protestów. Ten cynizm prezesa szybko wyłapały środowiska kościelne i prolaiferskie – co jednak nie przeszkadzało im parę dni później iść wraz z politykami PiS w **Marszu Życia**.

Także Donald Tusk i jego otoczenie mają świadomość, że aborcja to temat, na którym – kolokwialnie mówiąc – można się przejechać. Dlatego szef PO też nie



jest entuzjastą referendum i pilnuje, żeby jego rząd, mimo konserwatywnej „Trzeciej Nogi” (jak w KO przedrzeźniają TD), przedstawiał progresywne rozwiązania w kwestiach aborcji (wytyczne dla szpitali) i antykoncepcji (dostęp do tabletki „dzień po”). Tyle że przejście tej agendy przez KO nie jest na rękę jej koalicjantom: Lewicy – bo ogołaca ją z autorskich haseł, TD – bo taka „postępowość” budzi opór chłopskiej odnogi. Tusk w swoim stylu manewruje więc między uwarunkowaniami koalicyjnymi a oczekiwaniami społecznymi (50 proc. Polaków chce liberalizacji prawa antyaborcyjnego, ale 41 proc. uważa, że obecnych przepisów nie powinno się zmieniać, a 7 proc. opowiada się za zastrzeżeniem prawa – Opinia24 dla TVN).

Sami koalicjanci nie są aż tak zręczni, co uwidoczniła samorządowa kampania wyborcza, podczas której doszło do otwartego – a chwilami także wulgarnego – ataku Nowej Lewicy na Trzecią Drogę z powodu przesunięcia przez Szymona Hołownię czytania projektów aborcyjnych na czas po wyborach. To dlatego podczas wieczoru wyborczego KO w kuluarach narzekano, że nie do końca satysfakcjonujący wynik koalicji rządzącej to wina wewnętrznych sporów na linii NL–TD i szarpania się o aborcję. Zresztą echa tego konfliktu było słychać jeszcze w czwartek, kiedy Urszula Pasławska (PSL) z mównicy sejmowej naskoczyła na „koleżanki z Lewicy” za to, że: „Prawa kobiet zostały spłaszczone wyłącznie do kwestii aborcji”. Z odpowiedzią pospieszyła minister Agnieszka Dziemianowicz-Bąk (NL), która stwierdziła, że: „W piekle są specjalne miejsca dla kobiet, które nie wspierają innych kobiet”.

Koniec końców koalicja 15 października zwarła jednak szyki i zademonstrowała spójność podczas głosowań. Tyle że to ledwie początek prac, więc kolejne konflikty na tym tle – jak uczy polityczne doświadczenie – to tylko kwestia czasu. Dla rządzących ważne, aby na to wewnętrzne rozedrganie nie nałożyło się społeczne rozczarowanie, bo to prosta droga do klęski i utraty szansy na realną zmianę, która nierozzerwalnie jest związana z przyszłorocznymi wyborami prezydenckimi.

Żeby jednak nie było tak prosto: polityka i system naczyń połączonych, więc również kobiety są zakładniczkami tych wyborczych rozstrzygnięć oraz własnych decyzji. Utrata poparcia przez obecną władzę i umocnienie się PiS będą skutkować tym, że kolejny lokator Pałacu Prezydenckiego również będzie dzierżył narodowo-katolicki sztandar. A wówczas dalej jedyne, na co będą mogły liczyć kobiety w kwestii ochrony swoich praw, to legislacyjna prowidzorka.

MALWINA DZIEDZIC

Gorące krzesło

Anna Siewierska

Profesor Uniwersytetu Rzeszowskiego, politolożka, była rektorka WSE.



Jesteśmy po wyborach samorządowych, ale kampania do wyborów europejskich jeszcze się nie rozkręciła, czas więc jest dobry na refleksję o wyborczej karuzeli, którą fundują nam politycy. Od kilku lat z rosnącym zdumieniem obserwuję zabawę w gorące krzesło: ledwie przyswoimy nazwiska świeżo wybranych posłów i senatorów, część z nich zaraz zawiesza swoje mandaty, żeby wystartować w kolejnej kampanii. Rzecz wydaje się normalna, w końcu nikt nikogo do stołka nie przywiązuje i zawsze pewna rotacja pod tym względem była – zwłaszcza że nie ma żadnych prawnych ograniczeń, a ryzyko straty jest żadne, bo mandat po przegranej kampanii można odwieść. Podobne zjawisko występuje także w innych krajach europejskich, choć tam znacznie rzadziej, ogranicza je bowiem kultura polityczna, nakazująca politykom większy szacunek do wyborców i odpowiedzialność za złożone obietnice. A jeśli kolejny start, to tylko wyżej, bo wiadomo, że z ligi powiatowej do drużyny narodowej to nie wstyd. Za to odwrotnie, to już trochę obciach.

W Polsce tymczasem jedyną obowiązującą zasadą jest chłodna polityczno-finansowa kalkulacja, która nijak się ma do budowania kapitału społecznego. Kandydaci na parlamentarzystów z dumą prezentują swoje wielopunktowe programy i zapewniają o determinacji, aby je zrealizować, po czym kilka miesięcy później startują w kolejnych wyborach. I beczelnie proszą o kolejny kredyt zaufania – tym razem do sejmików, urzędów miasta czy do Brukseli. Ba, już nawet nie tylko zwykli posłowie, ale nawet ministrowie potrafią zawiesić sprawowanie swoich obowiązków, aby sięgnąć

po większą władzę, a jeszcze częściej – po większe pieniądze. Rekordziści uprawiają triathlon i startują we wszystkich trzech konkurencjach: samorządowych, parlamentarnych i europejskich. Niektórzy nawet z sukcesem, co tylko powiększa frustrację tych, co to raz wybrani tkwią na swoich pozycjach, licząc, że wyborcy docenią ich „poświęcenie”.

Warto przy okazji wspomnieć, że osoby już sprawujące mandat stanowią dla innych kandydatów nierówną konkurencję, siłą rzeczy bowiem poseł czy senator ma większą rozpoznawalność niż najbardziej nawet zaangażowany w kampanię aktywista miejski czy działacz społeczny. W końcu co najmniej od czasu „Rejsu” wiemy, że „lubimy te piosenki, które już znamy”. Pomijam już nawet kwestię pracy na rzecz państwa – przecież prowadząc kolejną kampanię wyborczą, polityk odkłada na bok obowiązki, do których sprawowania został demokratycznie wybrany. Państwo niestety to taki pracodawca, który w Polsce nie może liczyć na lojalność, zatem ten aspekt sprawy niemal nikogo nie interesuje. Więcej nawet – za normalne przyjęło się w naszym kraju, że politycy robią sobie kampanię za pieniądze podatników, występując na billboardach finansowanych a to ze środków ministerialnych, a to z funduszy miejskich czy nawet z unijnych dotacji. Wystarczy dorzucić w tle jakiś nowy budynek, krótki odcinek nowej drogi i podkładka pod kampanijne wydatki gotowa.

Tę sytuację ciągłej rotacji wystarczy przełożyć na poziom prywatnego pracodawcy, aby w całej rozciągłości dostrzec patologię zjawiska gorących krzeseł w polityce. Taki pracownik w żadnej szanującej się firmie posady nie utrzyma, za to za publiczne pieniądze może się bawić w nieskończoność. I w tym kontekście najzabawniej brzmią zatroskane głosy polityków rozczarowanych niską frekwencją wyborczą o „społeczeństwie, które nie dojrzało do demokracji”. Ilu polityków do niej dojrzało, przekonamy się wkrótce po tym, jak partie ujawnią listy kandydatów do PE.

Fąfara bierze Orlen

Rada nadzorcza Orlenu 10 kwietnia wybrała **Ireneusza Fąfara** na szefa płockiej grupy. Wynik konkursu okazał się zaskoczeniem. Z rywalizacji odpadł uchodzący za pewniaka Krzysztof Zamasz, były prezes Enei i dyrektor Veolii, który przez wiele tygodni miał poparcie Koalicji Obywatelskiej i szefa MAP Borysa Budki. Nieoficjalnie wiadomo, że Zamasz zabiegał o prawo do dobrania sobie współpracowników w zarządzie Orlenu, co spotkało się z oporem polityków. Ostatecznie przeliczytował, a konkurs rozstrzygnięto na korzyść Fąfary.

Fąfara to ekonomista i zawodowy menedżer. Jeszcze w trakcie studiów na Akademii Ekonomicznej w Krakowie zaczął pracę w branży energetycznej jako specjalista ds. eksportu. W 1998 r. wszedł do zarządu ZUS, gdzie przez kolejne dziesięć lat odpowiadał za finanse ubezpieczyciela, a od 2003 r. również za jego informatyzację. W maju 2007 r., czyli pod koniec pierwszego rząd PiS, został szefem BGK i pozostał nim przez dwa pierwsze lata rządów PO-PSL.



– *Menedżer ekumeniczny, dogada się z każdym* – mówi jego były współpracownik.

W 2010 r. Fąfara pracę zaproponował Jacek Krawiec, ówczesny szef Orlenu. Menedżer stanął na czele Orlen Lietuva, spółki kontrolującej rafinerię w Możejkach, która w tym czasie była jednym z najtrudniejszych aktywów płockiej grupy. Pozbawione dostępu do rosyjskiej ropy Możejki przynosiły straty, a rząd PO-PSL rozważał sprzedaż, co zaogniło relacje z Wilnem. Fąfara dał się wówczas poznać jako dobry negocjator; twardo bronił interesów Możejki, szczególnie w relacjach z litewskimi kolejami, które

zawyżały stawki za transport ropy. Po przejęciu władzy przez PiS w 2015 r. zachował stanowisko, a konflikt z Litwinami udało się wygasic.

W 2018 r. Fąfara wszedł do rady nadzorczej funduszu Rockbridge, którego właścicielem jest Piotr Osiecki, inwestor oskarżony w aferze Getback (wyszedł na wolność po wpłacie 110 mln zł kaucji). W radzie funduszu zasiada też m.in. Paweł Wojciechowski, który niedawno został szefem nadzoru Poczty Polskiej, oraz były szef PERN i były wiceprezydent Warszawy Robert Soszyński, który również ma wejść do zarządu Orlenu. Ostatnie lata Fąfara poświęcił biotechnologii. Od 2020 r. stał na czele spółki 4CELL Therapies, rozwijającej technologie do leczenia nowotworów.

„Dobrze mi się z nim pracowało. Robił to, co do niego należało” – mówiła w 2009 r. o Fąfarze w rozmowie z „Rzeczpospolitą” była prezeska ZUS Aleksandra Wiktorow. Jej zdaniem jedyną wadą Fąfary była „zbyt mała asertywność”. Prawdopodobnie ta cecha mogła przesądzić o jego zwycięstwie w konkursie na szefa Orlenu, ale nie zagwarantuje mu sukcesu w fotelu szefa płockiej grupy. (RTOM)



Twarz Iranu

To był największy w historii skoordynowany atak za pomocą dronów i różnych pocisków – było ich ok. 320. A także pierwsze bezpośrednie **uderzenie na Izrael** z terytorium Iranu. W sobotni wieczór Teheran przeprowadził atak odwetowy za zbombardowanie irańskiego konsulatu w Damaszku, w którym dwa tygodnie wcześniej zginęło siedmiu irańskich oficerów.

Wszystko było zapowiedziane. Szef irańskiego MSZ przekonuje, że zainteresowane strony – w tym USA, państwa arabskie i pośrednio Izrael – zostały poinformowane o ataku z 72-godzinnym wyprzedzeniem. Sam atak też nie był niespodzianką. Powolne irańskie drony musiały lecieć w kierunku Izraela co najmniej dziewięć godzin. Wystarczająco długo, żeby Izraelczycy się przygotowali.

Według izraelskiej armii żaden z dronów nie dotarł nad izraelskie terytorium.

Podobnie jak 25 z 30 pocisków manewrujących. Obrona Izraela zestrzeliła też dużą część z największych pocisków balistycznych. W osłanianiu Izraela brali również udział obecni w regionie Amerykanie, Brytyjczycy i Jordańczycy. Według strony izraelskiej atak nie poczynił żadnych poważnych strat w infrastrukturze wojskowej. Irańczycy są innego

zdania. W niedzielę twierdzili, że siedem pocisków doleciało do celu i izraelska baza Nevatim jest częściowo zniszczona.

Iran, przynajmniej retorycznie, próbuje jednocześnie obniżyć napięcie. Jeszcze przed zakończeniem sobotniego ataku jego przedstawicielstwo przy ONZ oświadczyło, że „Iran uznaje sprawę za załatwioną”, a szef irańskiego sztabu ogłosił, że akcja się powiodła i kolejne ataki nie będą potrzebne.

Zachodni sojusznicy jeszcze w poniedziałek namawiali Izrael do przerwania spirali przemocy. Prezydent Joe Biden pogratulował premierowi Benjaminowi Netanjahu „pełnego zwycięstwa”, ale jednocześnie zapowiedział, że Ameryka nie weźmie udziału w żadnej kolejnej akcji odwetowej.

Bez względu na retorykę – w tym konflikcie żadnej ze stron nie zależy na pełnoskalowej wojnie. Obok dominującej opowieści o tym, że w rzeczywistości atak z 7 października został zaplanowany i zdecydowany w Teheranie, a tylko wykonany przez irańskich sojuszników z Hamasu (co wcale nie jest takie oczywiste), Netanjahu ma też długofalową strategię. Wydaje się, że izraelski premier zwątpił w plan porozumienia się z arabskimi potęgami – Arabią Saudyjską, Zjednoczonymi Emiratami

i Egiptem. I w budowę z nimi antyirańskiego sojuszu, gwarantującego spokój w regionie po wycofaniu się z niego Amerykanów, którzy już od lat próbują się skupić na chińskim zagrożeniu. Stąd m.in. amerykański patrol nad izraelsko-arabskim zbliżeniem.

Wygląda na to, że dla Netanjahu to już za mało – że w imię bezpieczeństwa Izraela musi zatrzymać Amerykanów w regionie poprzez kontrolowane podwyższanie napięcia. Izrael musiał przecież wiedzieć, jaka będzie reakcja Iranu na uderzenie w irańską placówkę dyplomatyczną. Sprowokowała w ten sposób odwet jednocześnie pozwala Netanjahu wyjść z międzynarodowej izolacji wywołanej działaniami Izraela w Strefie Gazy. Podczas irańskiego ataku pełnego poparcia Izraelowi udzielili niemal wszyscy zachodni przywódcy, z prezydentem Bidenem na czele, który jeszcze kilka dni wcześniej krytykował izraelskie plany ataku na Rafah.

Iran też musi podtrzymywać napięcie, choć już nie tak wysokie.

Izrael to dla irańskiego reżimu jedna z ostatnich politycznych kropolek – źródeł legitymacji. Społeczne rozczarowanie stanem irańskiej gospodarki, ograniczaniem praw obywatelskich połączone z gwałtowną sekularyzacją już dawno zachwiałyby reżimem, gdyby nie irański nacjonalizm, skierowany przeciwko Zachodowi i jego „syjonistycznej ekspozturze” na Bliskim Wschodzie. Ten nacjonalizm łączy zarówno religijnych i zagorzałych zwolenników reżimu, jak i jego świeckich przeciwników. Iran musiał więc odpowiedzieć na Damaszek, żeby nie wyszło, że nawet w tej sprawie sobie nie radzi.

W sobotnim ataku nie chodziło więc o to, aby zrobić przeciwnikowi krzywdę. Gdyby taki był cel Teheranu, na Izrael z bliska poleciałaby pociski Hezbollahu. Chodziło o wysłanie komunikatu – i to przede wszystkim do swoich sojuszników w regionie i do samych Irańczyków. Nieporadnie atakując Izrael, Iran ratował twarz.

ŁUKASZ WÓJCIK

Głosujący za młodu

W Belgii w czerwcowych eurowyborach po raz pierwszy będą głosować szesnastolatki – i to od razu obowiązkowo. Taką decyzję ogłosił właśnie belgijski Trybunał Konstytucyjny, a całą sprawę dorosłym udało się bardzo zagmatwać. Na początku najmłodszy wyborcy, którzy chcieliby zagłosować, mieli się dopisywać do list, tak jak np. unijni cudzoziemcy mieszkający w Belgii. Pomysł okazał się niekonstytucyjny, bo podważał zasadę równości praw. Zatem wycofano się z dopisywania, ale wprowadzono zasadę dobrowolności: wszyscy młodzi będą na listach, ale ten pierwszy raz niech głosują, jeśli chcą. Tu po raz kolejny wkroczył Trybunał i orzekł, że obowiązek uczestnictwa w wyborach (ustanowiony w 1893 r.) musi dotyczyć wszystkich, niezależnie od wieku. W ten sposób z sympatycznego zaproszenia do zaangażowania się w sprawy Unii wyszedł dodatkowy obowiązek. Żeby ratować

sytuację, minister sprawiedliwości Paul Van Tigchelt zapowiedział, że w przypadku tej grupy odstąpi się od stosowania kar. Za absencję wyborczą grozi od 100 do 250 euro, ale w praktyce i tak zapis nie jest egzekwowany (w poprzednich eurowyborach absencja wyniosła 17 proc.). Ładna to lekcja konsekwencji. W dodatku aby uczestniczyć w odbywanych w tym samym czasie wyborach na szczeblu lokalnym i federalnym, trzeba mieć po staremu skończone 18 lat.

Eurowiek wyborczy obniżono do 16 lat jeszcze w Niemczech, Austrii i na Malcie, a w Grecji – do 17 lat. W sumie ta najmłodsza grupa stanowić będzie 2 mln wśród 366 mln eurowyborców. Na masę niewiele, ale chodzi o symbol. Unia chce ich zachęcić do aktywności, bo dotychczas w przedziale 18–25 lat osiągnięta jest najniższa frekwencja. Unia chciałaby też skoordynować minimalny wiek głosowania, ale na razie każdy z 27 krajów członkowskich decyduje po swojemu. To z kolei pierwsza lekcja o stanie unijnej integracji.

Front się kruszy

Region stołeczny Ukrainy stracił główne źródło elektryczności. Elektrownia trypilska, jedna z największych w kraju, została zniszczona w ataku raketowym w miniony czwartek. Na zakład spadło kilkanaście pocisków, zabezpieczenia okazały się za słabe. Na apel o nowe systemy obrony powietrznej pierwsi odpowiedzieli Niemcy, ale pojedynczy zestaw Patriot nie obroni rozszaniach po kraju bloków energetycznych. Firma Centrenerg, do której należała zbombardowana elektrownia, straciła wcześniej inne, pod Charkowem i w Donbasie. W tym samym czasie rosyjskie pociski spadły ponownie na największą hydroelektrownię pod Zaporozem. Kolejny pożar, nowe uszkodzenia, ale tama wciąż trzyma, a generatory pracują. Energetyczny front przez minione dwa lata trzymał się nadszpiegowanie mocno, teraz zaczyna się chwiać. Już po marcowej fali bombardowań przedstawiciele odpowiedzialnej za większość elektrowni ciepłych firmy biznesowego oligarchy Rinata Achmetowa mówili o 80-proc. ubytku zdolności wytwarzania. Ukraina utrzymuje pracę trzech elektrowni jądrowych (największa zaporoska jest wyłączona i pod okupacją), wytwarza prąd ze słońca i wiatru, sporo też importuje – dzięki temu system wciąż działa. Ale szef resortu energetyki ostrzega przed wyłączeniami.



Frontowe miasto Orichiw na Zaporozu dziś jest zupełnie zrujnowane.

Front w Donbasie też się kruszy. Krasnohoriwka, Toneńkie – to kolejne miejscowości zajęte w powolnym marszu Rosjan na zachód. Na celowniku Kremla ma być jednak Charków, drugie co do wielkości miasto Ukrainy, leżące zaledwie 30 km od granicy, ale skutecznie obronione na początku inwazji. O tym, że Rosja przygotowuje ofensywę na tym kierunku, słysząc kolejny raz, choć na razie marszu żadnej wielkiej armii nie widać – Rosjanie nacierają 100 km dalej na wschód. Dla Putina Charków mógłby być jednak namiastką Kijowa, może przyszłą stolicą

okupowanej wschodniej Ukrainy. Na razie na Charkowie koncentrują się rosyjskie uderzenia – niemal codziennie ludzie giną pod bombami i raketami. Prezydent Wołodymyr Zełenski mówi o przyspieszeniu budowy fortyfikacji, a regionalne władze rozważają ewakuację już nie tylko z przygranicznych rejonów. To zaczyna wyglądać na przygotowania do oblężenia. Wizja powtórki z Mariupola i Bachmutu do potęgi może budzić przerażenie, ale walki o milionową metropolię byłyby krwawą pułapką przede wszystkim dla agresorów.

MAREK ŚWIERCZYŃSKI



Przetarli szlak

To orzeczenie historyczne, które wpłynie na kształt zobowiązań klimatycznych Europy. Tak o wyroku Europejskiego Trybunału Praw Człowieka mówią prawnicy, którzy w trwającej dekadę kampanii wspierali 2,5 tys. Szwajcerek skupionych w stowarzyszeniu KlimaSeniorinnen. Panie mają po 64 lata i więcej. Zaskarżyły rząd w Bernie, zarzucając mu bierność w ograniczaniu emisji gazów cieplarnianych. Twierdziły, że zaniechania niosą szkodę prawom człowieka, ponieważ podwyższona temperatura atmosfery sprzyja występowaniu letnich fal upałów, niebezpiecznych dla osób starszych, zwłaszcza kobiet, które podczas skwaru są w większym stopniu narażone na ryzyko wystąpienia stanów poważnego zagrożenia zdrowia lub nawet utraty życia.

Wyroki ETPC są wiążące dla 46 krajów członkowskich Rady Europy. Są ostateczne, nie ma od nich drogi odwoławczej. Rząd szwajcarski zapowiedział, że zapozna się z uzasadnieniem. Jeśli nie chce narazić się na kary finansowe i międzynarodową infamie, będzie musiał krajowe emisje ścinać. Ależ to absurd, oburza się szwajcarski centro-prawicowy dziennik „Neue Zuercher Zeitung”, ostrzegający przed „orzecznictwem aktywistycznym”, bo taki finał historii siostrzenek może torować drogę roszczeniom o dowolnej naturze.

Faktycznie, to pierwsze orzeczenie międzynarodowego trybunału, który uznał, że zaniechania władzy w przeciwdziałaniu kryzysowi klimatycznemu uderzają w prawa człowieka. Pokazuje też, że obywatele mogą na podstawie przesłanek klimatycznych skutecznie zmuszać rządy do zdecydowanej akcji. W strasburskim trybunale czekają kolejne sprawy, m.in. przeciw Norwegii – tu łamać prawa człowieka mają nowe koncesje na wydobycie ropy naftowej i gazu ziemnego.

Roszczenia takie nie są jedynie domeną Europy. Indyjski sąd najwyższy dopiero co uznał, że obywatele mogą się skarżyć na te skutki zmian klimatycznych, których można było uniknąć. Tu punktem wyjścia była kondycja jednego gatunku ptaków, dropia indyjskiego, zagrożonego wyginięciem. Statystyki podobnych spraw, które zostały wniesione do sądów międzynarodowych i krajowych, prowadzi Program Narodów Zjednoczonych ds. Ochrony Środowiska. O ile w 2017 r. było nieco ponad 800 przypadków, o tyle w 2022 r. liczba powództw wzrosła do blisko 2,2 tys. A trend ten ma się dopiero rozpędzać, spraw będzie przybywać, co wynika ze wzrostu świadomości klimatycznej obywateli i towarzyszącej jej frustracji z pozorowanych działań władzy i biznesu.